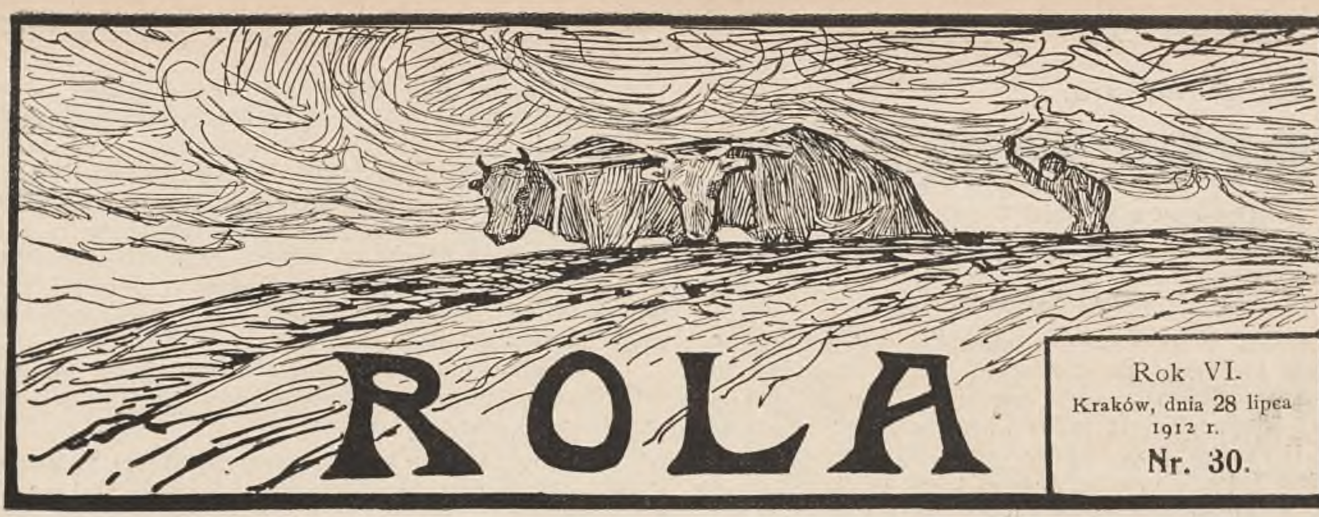


ROLA

Rok VI.
Kraków, dnia 28 lipca 1912 r.
Nr. 30.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

Kształcenie dziewcząt.

Niejedni rodzice, mając paru lub kilku synów starają się o to, ażeby dać im jakietakie wykształcenie, posyłają więc ich do szkół gminnych, a potem odsyłają dalej do miast. I zostaje któryś z tych synów księdzem, inny zaś nauczycielem lub urzędnikiem; na gospodarce zostaje zwykle najstarszy, lub też, jeżeli synów jest kilku, a niema wszystkich za co kształcić — jeden zostaje do pomocy, a reszta idzie do Ameryki i tam się marnuje.

Niemało mamy dziś w kraju ludzi wykształconych w różnych kierunkach, którzy wyszli z pod strzech włościańskich. Zrozumieli też wszyscy, że wśród tych synów wieśniaczych są ludzie prawdziwie zdolni, utalentowani, że w nich tkwi siła i moc narodu.

Inaczej było i jest poniekąd z dziewczętami, które niesprawiedliwie skazane są często na wieczne siedzenie w domu i pilnowanie garnków lub kądzieli.

Niejedna matka mówi, że »aby dziewczyna umiała na książce litanię przeczytać, wedle gospodarstwa chodzić, a w przyszłości męża złapać, to już do szczęścia nic jej nie potrzeba więcej«, a i ojciec niejeden, gdy go namawiać, ażeby dziewczynę oddał do nauki, powiada zwykle, że »z niej ksiądz nie będzie, to poco jej tam nauka!«

Błędne to jest pojmowanie sprawy i krzywda tu się dzieje tym dziewczętom, które, rozumiejąc potrzebę nauki, chciałyby z niej korzystać i kształcić się. W ostatnich dopiero czasach, gdy szkół różnych powstało w kraju dużo — pomyślano i o dziewczętach wiejskich. Powstały więc zakłady i kursa gospodarstwa domowego, tkactwa, ogrodnictwa; powstały szkoły ochroniarskie, seminarya nauczycielskie i szkoły robót ręcznych dla dziewcząt.

Dzisiaj szkół u nas nie brak i to takich szkół, w których uczą dziewczęta, jak gospodarować mają u siebie w domu, ale w szkołach tych dziewcząt wiejskich prawie niema.

Szkoda to wielka, bo w dzisiejszych czasach, kiedy praca oświatowa ogarnia wszystkie warstwy bez różnicy stanów, kiedy każdy rozumny obywatel naszej ziemi wie, że przez oświatę zdobędziemy dobrobyt i bogactwo, a razem siłę i moc, niezbędne do walki z losem — nie powinno być różnicy w kształceniu między mężczyzną a kobietą.

Oświata kobiet wiejskich, leżąca prawie że odłogiem, nie może podnosić się wyżej dotąd, dopóki z pośród samych kobiet wiejskich nie wyrośnie zastęp przewodniczek duchowych, rozumiejących dobrze swe zadanie i spełniających rolę nauczycielek zaniedbanych swych sióstr. A w pracy kulturalnej, budującej nas, powinniśmy kroczyć razem, gdyż na kobiecie w dużej części spoczywa przyszłość pokoleń, a zatem i przyszłość wszystkich.

Nie zostawiajmy więc swoich córek i sióstr w domu, nie zniewalajmy ich do przymusowego siedzenia przy kuchni i w oborze. Mające chęci i zdolności w pewnym kierunku uczmy, gdzie się da. Nie byłoby to wstydem dla ojca i rodziny, gdyby ich córka - wieśniaczka i uniwersytet skończyła. Najlepiej oddać do wyższych szkół zdolną córkę, niż syna słabo rozwiniętego umysłowo, z którym później tylko kłopot rodzice będą mieli, bo wyrośnie z niego czasem człowiek »ani do Boga ani do ludzi«.

Nie zachęcamy, aby kształcono córki i zapychano nimi różne posady, lecz pragniemy wykształcenia kobiet, które w obecnych czasach jest dla każdego niezbędne. Do takiego wykształcenia w imię dobra społecznego wzywamy wszystkich, komu dobro ludzkości leży na sercu.

A nam potrzeba jak najwięcej ludzi użytecznych!

Ant. St. Bassara.

PRZEZ POGROM.

Opowieść z Wielkiej Wojny w 1812 r.

ROZDZIAŁ X.

Nad Berezyną.

Armia Napoleona w odwrocie swym topniała z dniem każdym. Ze wszystkich stron czatowali na nią sołdaci Kotuzowa, a wewnątrz gnębił stokroć sroższy nieprzyjaciel: mróz i niedostatek. Z batalionów, liczących przy opuszczeniu Moskwy po 500 i więcej ludzi, ubywało prawie z dniem każdym po kilku, kilkunastu a nieraz i po kilkudziesięciu żołnierzy.

Korpus marszałka Neya stopniał do tak małej liczby ludzi, iż tylko chyba na urągowisko zwano go jeszcze korpusem.

Najlepiej jeszcze trzymały się korpusy Victora i Qudinota, oraz Polacy księcia Poniatowskiego, którzy, chociaż widzieli pogrzebane bezpowrotnie nadzieje swoje, zagryzali zęby i postanowili do końca nie opuszczać Napoleona. Byli mu wierni w dniach chwały i potęgi — za hańbę uważaliby byli opuszczenie w nieszczęściu.

Odczuwał Napoleon tę zaciekłą rozpacz żołnierzy polskich, więc, chcąc ratować swe wojska, przeznaczał im najniebezpieczniejsze pozycye, często stracone placówki. A ci, parci przez armię Czyczagowa od południa, zbliżali się coraz bardziej ku reszcie armi Napoleona, odgryzając się Moskalom, jak odgryza się ranny odyniec sforze psów gończych.

A całe to zbiorowisko ludzi, zwane do niedawna wielką armią Napoleona a liczące obecnie siedmdziesiąt do ośmdziesiąt tysięcy, prze ku Berezynie i marzy tylko o tem, jakby ją przejść najprędzej. Zdawało się im, iż na drugim brzegu ocalenie ich czeka.

Małe miasteczko Borysow, leżące nad Berezyną, zamieniło się nagle w jedno wielkie mrowisko ludzkie. Każdy z żołnierzy szukał dla siebie pomieszczenie tam, gdzie uznał to za najdogodniejsze. Rozkładano się więc w stodołach, spichrzach, oborach, stajniach, a nawet w kościołach i bramach domów.

Na ulicach rozpalano ognie, przy których przestępując z nogi na nogę, grzali się ziębnięci żołnierze. A mróz z dniem każdym stawał się dokuczliwszy — szczypał po uszach, ubielał brwi i wąsy, a całem ciałem wstrząsał, by w febrze bezustannej.

Batalion Rutkowskiego, liczący obecnie niespełna sześćdziesięciu ludzi, rozłożył się obozem na skrzyżowaniu dwóch nieszerokich ulic. Rozpalono ogień i obstąpiono go wokoło, aby ogrzać nieco zmarznięte członki.

— Ot ci, psiamać, mróz — począł Rokicki — kiedy człek do domowych pieleszy wróci, to i przez rok zgoła z tej zimnicy nie wywietrzeje.

— Abyś ino waćpan wrócił. — odparł Rawicz — Ale mnie się widzi, że pierwej te moskiewskie dusze na kapustę nas posiekają.

— Nie pleć waszmość — dodał dobosz Kucharski. — Jakaby tam kapusta z nas była, kiedy krom kości, skóry i podartej przyodziewy nikt nic na sobie nie ma.

— A to nic? — ozwał się któryś z podoficerów, podnosząc w górę nogę i okazując buty bez podeszew, z których wyglądały strzępy onuc i źdźbła zbrukanej słomy.

— Jak mi Bóg miły! najnowsza moda — zakrzyknął Zaklika. — Proszę Waćpana na gody moje z Zochną!

Bolesny ten żart Zakliki przygniótł wszystkich ciężkim smutkiem, bo wszyscy dobrego towarzysza kochali, a o jego umiłowaniu Zosi wiedzieli. A sam Zaklika opuścił głowę na piersi i począł snuć smutne myśli o tej, którą tak niedawno i w tak dziwnych okolicznościach poznał, a którą wkrótce i to może na zawsze pożegnać musiał.

— Gdzie ona teraz, gdzie ona niebogа? — plątało mu się ciągle pytanie po głowie, na które nie znajdował żadnej odpowiedzi.

A gdy się tak kłopotał, rzucił okiem na prawo i zobaczył Walka, patrzącego gdzieś w dal — ku zachodowi.

— Gdzie ona teraz? gdzie ona niebogа? — powtórzył teraz głośno to samo pytanie, trącając Walka w ramię.

— Kto? Marysia? — zapytał Walek — Ano w Bożej opiece i Ten jej nie opuści!

— Masz ci babo kaftan — zaśmiał się Zaklika — Już to z zakochanymi, to zawsze tak — praw mu o najpiękniejszych cudach, pytaj go o najważniejsze rzeczy, to on zawsze swoje.

— A niby pan, panie towarzyszu — odparł Walek — nie tak samo robi? Ale proszę o wybaczenie, bom nie dosłyszał.

— Ja się też nie gniewam — rzekł Zaklika — a pytając o Zosię, pytałem zarazem o Marysię, boć one razem, niebogi, na trudy a niewygody się puściły.

— Bóg je będzie miał w opiece i złego im nic uczynić nie da!

— I ja tak myślę. Mróz ma dość żołnierzy, to się tam nad takiemi słabemi istotami znęcał nie będzie, a i Moskal z babami wojny prowadził nie będzie. Zresztą Zającowa ma głowę na karku, to je szczęśliwie przeprowadzi.

Gdy tak rozmawiali nasi znajomi, nadszedł podpułkownik Rutkowski. Żołnierze przybrali wojskowe postawy i oddali mu należny pokłon. Ale Rutkowski machnął kilka razy ręką, szepcąc:

— Nie potrzeba, nie potrzeba! Wszyscyśmy teraz równi, a władcą naszym mróz a niedola.

Poczem, otarłszy łzę z żołnierskiego oka, tak dalej mówił:

— Ot! co z nas pozostało? Strzępy i dziadaństwo! A z marzeń naszych? Wspomnienia jeno!

A zwracając się do reszty pozostałych niedobitków, rzekł:

— Za mną towarzysze! Znalazłem poza miastem szopę — ta nas chociaż przed wichrem zasłoni.

Prawdziwa to była dla wszystkich niespodzianka. Rutkowski poprowadził »batalion« ku szopie. Żal było patrzeć na tych dzielnych żołnierzy. Kilku z nich kulało od ran pochodzących od kul lub odmrożenia, kilku innych trzymało ręce na temblakach a wszyscy byli obszarpani i wynędzniali.

Przyszedłszy do szopy, zastali ją zajętą, wprawdzie nie przez oddział żaden, ale w kącie na kupie śmieci leżał jakiś maruder i charczał okropnie. Podbiegł ku niemu Rutkowski, podbiegli i inni, a Walek począł podnosić głowę konającego.

Ten zwrócił wzrok na przybyłych, uśmiech wykwitł na jego licach i ubrał je w blask dziwny i kojący. Po chwili wewnętrznego zadowolenia, sięgnął ręką na szyję a zdejmując z niej szkaplerz, począł szeptać:

— Rodacy wy!... dzięki ci Boże!... oddajcie matce... i powiedzcie, żem wypełnił obowiązek... Jednego mnie miała...

Głowa konającego opadła ciężko na ręce Walka i krew bluznęła z ust jego.

Przypadł Zaklika, otarł usta krwią zroszone i podsunął mu manierkę z winem zmieszanem do połowy z wodą.

Przełknął chory kilka kropel i począł znowu:

— A jej... Hani... powiedzcie, żem jej nie przestał... ko....

Nie dokończył rozpoczętego wyrazu — głowa opadła mu na ręce Walka i skonał.

W lichej szopie, wśród trzeszczącego mrozu, pozdejmowali żołnierze nakrycia z głów i odmówili głośno modlitwę za konających i »Wieczne odpoczywanie«.

— Ot, taka dola żołnierza — rzekł Rutkowski.

— To nas czeka wszystkich — dodał chorąży Turski.

— Panie pułkowniku! — zawołał Walek, zrywając się na równe nogi — Kiedy już taka wola Boża, abyśmy tu bez świętych Sakramentów, kieby te psy marnieli, to raczej nam się zmówić, wpaść na Moskali i choć z kopę tych psichjuchów ze sobą na tamten świat zabrać. A może i święty Pieter prędzejby nas do nieba wpuścił, jakbyśmy trochę ziemię z tego paskudztwa oczyścili.

Spodobała się widocznie ta myśl towarzyszom Walka, bo poczęli groźnie spozierać i wąsa kręcić a nawet Rutkowski nie był jej niechętnym, bo uśmiech rozjaśnił jego twarz. Podniecony dobrą myślą przystąpił do Walka, a klepiąc go po ramieniu, rzekł:

— Zuch z ciebie towarzyszu, zuch i szkodaby cię było jeszcze świętemu Piotrowi posyłać.

— A Marysi by ci nie żal było na ziemi zostawić? — zapytał komendant po chwili.

— Co prawda, to bez niej i w niebieby mi nijak było, ale jakby taka wola boska była, to nie byłoby innej rady.

— Pomyślimy, pomyślimy — jął znowu mówić Rutkowski, wracając do projektu podanego przez Walka.

— A teraz towarzysze, — dodał — rozgospodarować się w tej komnacie, jak można najlepiej, odpocząć, bo może i pochulać nam wypadnie!

Żołnierze jednak, nim pomyśleli o spoczynku, zakrzątnęli się żywo około oddania ostatniej przysługi co tylko zmarłemu towarzyszowi. Rawicz wyjął z wojskowej sakwy igłę i nici i począł zszywać poszarpany jego mundur.

— Gdy stanie u bram niebieskich — mówił — niech nie wygląda jak sierota jaki. W całych szatach prędzej przejdzie bramy niebieskie i pułkowi wstydu nie przyniesie.

Walek chciał oddać zmarłemu buty własne, jako posiadające jeszcze trochę podeszew, ale towarzysze nie zezwolili na to.

— W niebie cieplej zapewne, niżeli tu — mówił Rawicz — to i boso mógłby zajść, tu zaś droga daleka, więc bez butów nijakby ci było.

Nie upierał się Walek, odszedł więc razem z innymi, aby wykopać grób dla nieboszczyka. A że to ziemia była zmarznięta, więc na miejscu wywybranym na wieczny spoczynek dla zmarłego zapalono ogień, aby ją trochę odtaił, a gdy to nastąpiło, poczęto kopać dół, czem kto mógł — a więc jeden końcem bagnetu, drugi odłamkiem deski a jeszcze inny palcami własnymi. Ziemia ustępowała szybko i w pół godziny miejsce wiecznego spoczynku było gotowe.

Wtedy towarzysze na noszach, na prędce skleconych, ponieśli ciało zmarłego tam, gdzie miało na zawsze pozostać. Szli cicho a jeno szept modlitw rozchodził się wokoło, przerywany ciężkiem stąpaniem niosących. Stanąwszy na miejscu, spuszczono ciało do ziemi i na zniszczony mundur żołnierza posypały się gródki zmarzniętej ziemi.

— *Salve Regina!* — zaintonował dobosz Kucharski.

Podjęli pieśń pożegnalną towarzysze a smutek napełnił serca wszystkich — zdawało im się, że powierzają ziemi świętej brata rodzonego. Na wielu licach żołnierskich zajaśniały łzy, które wytoczyły żal za zmarłym i wspomnienia stron rodzinnych.

— Bodaj to jeszcze każdy z nas doczekał się takiego pogrzebu — odezwał się Rawicz, gdy wracano do szopy — ale wielu spocznie w żołądkach wilków a innych drapieżnych bestyi.

Całą odpowiedzią na słowa Rawicza były ciche westchnienia.

Po przyjściu do szopy niektórzy rzucili się do rozniecenia ognia, zaś chorąży Turski, jako najstarszy rangą pod nieobecność Rutkowskiego wyznaczył warty, poczem każdy, gdzie kto mógł, rozkładał się na tyle upragniony odpoczynek.

Nad ranem, gdy właśnie Walek miał iść na wartę, wszedł podpułkownik Rutkowski. Powitawszy żołnierzy rzekł:

— Zdaje mi się, że kości wyprostowane i sił panom braciom przybyło! No to dobrze! A cóż tu nowego słychać?

— Nic nadzwyczajnego — odparł Turski — jeno batalion nasz tej nocy zmniejszył się znów o dwóch towarzyszy.

— Jakże to było? — zapytał Rutkowski.

— Zwyczajnie! Żmuda zamarzł na warcie, Strowski z ran, otrzymanych onegdaj, w śnie żywot zakończył.

— Na Boga! — zawołał Rutkowski — czy aby kto z nas strony rodzinne zobaczy?!...

— Panie pułkowniku! odezwał się wtedy Walek, wysuwając się naprzód — Toć ja powiadam, że kiedy mamy wszyscy marnie wyginąć, to niechby choć w bitce z Moskalami i wszyscy razem, a nie tak powoli i po jednemu.

— A właśnie, właśnie! — począł Rutkowski — Zawiadomiłem już księcia Józefa, że spróbujemy poszukać Moskali. Pozwolił! Życzeniu więc waszecia stanie się zadość.

I w tej chwili jął wydawać rozkazy. Dwóch miało pochować zmarłych towarzyszy, Walek zaś z Opielskim mieli zostać dla strzeżenia kwatery, jako że ich czas nadchodził. Ale Walek uprosił Rutkowskiego, że mu iść pozwolił, zaś na jego miejsce miał zostać inny, któremu kula w niedawnej potyczce trochę nogę nadwerężyła.

Słońce jeszcze nie zeszło, gdy batalion Rutkowskiego wyruszył z szopy. Postępowano w milczeniu, aby nie budzić żołnierzy śpiących koło ognisk. Czasem tylko syknął jeden i drugi, gdy stąpił nogą napół bosą na ostry kamień, lecz cichł zaraz i postępował za wodzem.

Rutkowski skierował się na północ. Uszedł kawał drogi, ale nieprzyjaciół nie było ani śladu. Dopiero na wysokości Studzianki zamajaczyło na widnokręgu kilka postaci, lecz na widok zbliżającego się oddziału znikły nagle.

— Baczność! — szepnął Rutkowski. — Lis niedaleko — polowanie wkrótce się zacznie!

Minęło jednak jeszcze z pół godziny, a nieprzyjaciel nie dawał wcale znaku o sobie.

— Czyby stchórzyli? — zapytał Turski.

W tej samej prawie chwili od strony prawej posypały się strzały.

— Zaczyna się — rzekł Rutkowski, widocznie przygotowany na to i w tej chwili wydał rozkazy. Turski z kilkunastu towarzyszami pobiegł jeszcze dalej na północ, zaś Rutkowski, zostawiwszy sobie około trzydziestu zuchów, przypadł za wgórkiem. Dobosz Kucharski z resztą zawrócił ku Studziance.

Moskale podwoili ogień, lecz Rutkowki milczał, tem chętniej, że strzały nieprzyjacielskie nie wyrządzały mu żadnei szkody.

Nagle strzały ucichły a z oddali poczęły wyłaniać się postacie żołnierzy rosyjskich. Był to oddział dość liczny, bo składający się blisko z trzech setek ludzi.

— Panie pułkowniku! — szepnął Walek znajdujący się tuż koło Rutkowskiego — wyskoczmy i pochulajmy!

— Milczeć! — rzekł ostro Rutkowski i czekał dalej.

Moskale przystanęli tymczasem, jakby namyśleć się chcieli, poczem poczęli iść bez żadnych ostrożności w kierunku ukrytego oddziału. Gdy tylko kilkadziesiąt kroków dzieliło ich od naszych, wydał Rutkowski ciche polecenie:

— Baczność!

— Cel!

— A uważać mi, aby ani jeden stzzał nie chybił, bo ilu padnie, o tyle zmniejszymy sobie ręczną pracę.

— Pal! — dodał i trzydzieści kul wpadło w szeregi nieprzyjacielskie.

Prawie równocześnie powtórzył salwę Turski z lewej strony a odpowiedział mu Kucharski z prawej.

Przystanęli Moskale i zawachali się na chwilę, ale nie czas był zawracać, gdyż odległość była zbyt małą. Oddział znacznie pomniejszony salwą Polaków rzucił się naprzód. Odezwała się druga salwa, a że karabiny dotykały prawie piersi moskiewskich, skutek był jeszcze straszniejszy, jak za pierwszym razem. Mimo to oddział był w trójnasób silniejszy liczebnie, od szczupłej garstki Rutkowskiego.

Rozpoczęła się rzeź okropna. Trzech i czterech Moskali obskoczyło każdego z Polaków. Rutkowski ciął szablą na wszystkie strony, a gdy ta pękła, wyrwał karabin z rąk Moskala, a odwróciwszy go kolbą, rozbijał nią głowy sołdatów, jak garnki na płocie.

— Wepchną nas do wody! — szepnął Rutkowskiemu któryś z żołnierzy.

Odwrócił się pułkownik i rzeczywiście zobaczył iż o kilka kroków za nimi płyną mętne fale wzburzonej Berezyny. W jednej chwili pojął grozę położenia. Jeżeli nie uda się im znieść zupełnie Moskali, to ci weprą ich do wody, gdzie śmierć niechybną będą musieli znaleźć. Podwoił więc pracę rąk własnych, podwoili ją i inni. Ale choć Moskale gęściej trupem ziemię zaścielali, jednak i Polakom zaczynało sił ubywać. Gdy jednak Moskale przyparli ich na sam brzeg rzeki, nadbiegł Turski ze swoimi z lewej, a za chwil kilka Kucharski z prawej. To dodało Polakom otuchy, a przejęło obawą Moskali. Poczęli więc ci ostatni cofać się coraz bardziej, ale Polacy, czepiwszy się ich raz, za żadną cenę puszczać nie chcieli.

Rutkowskiemu już ręce omdlały od ciężkiej roboty, ale ani na chwilę nie ustawał. Co chwilę podnosił karabin ku górze i spuszczal na łeb sołdata, aż raz tak się zamierzył, że z rozmachu stracił równowagę i runął na ziemię. W tej chwili skorzystał ze sposobności najbliżej stojący żołdak — zmierzył się, aby pchnięciem bagnetu przeszyć bohaterskie serce dowódcy polskiego.

Zobaczył to Walek, pracujący opodal rzetelnie i, jak żbik raniony, rzucił się ku Moskalowi, a dopadłszy, chwycił wpół i tak silnie ścisnął, że żołdak ledwie jęknał i osunął się na ziemię. Walek pomógł wstać Rutkowskiemu i chciał biedz do dalszej pracy, zwłaszcza że Moskale poczęli tyły poddawać a nasi siedzieli im na karkach. Nie uczynił jednak tego, bo z poza siebie usłyszał krzyk:

— Walku! ratuj!

Oglądnął się i spostrzegł nad samą rzeką Rokickiego, otoczonego przez pięciu Moskali. Rzucił się pędem w tamtą stronę. Rokicki bronił się z całej siły. Nim Walek ubiegł parę kroków jeden z Moskali nakrył się nogami, poczem drugi uczynił tosamo. Moskale jęli następować coraz bardziej i nim Walek dobiegł, Rokicki padł przebity bagnetem.

— Albo wasza, albo moja śmieć — krzyknął Walek i nim się Moskałe spostrzegli, już jeden z nich padł pod ciosem mściciela.

Rzucili się dwaj pozostali na Walka i poczęli się z nim zmagać. Padały ciosy natychmiast przez niego odpierane. Wrogowie nie dawali mu chwili odpocznienia, ale i sami odpoczynku znaleźć nie mogli.

Nagle Walek, odskoczywszy dwa kroki w tył, przeszył pierś jednego z Moskali ostrym bagnetem. Potoczył się Moskal i padł ciężko na ziemię. Pozostały jego towarzysz zamierzył się na Walka, lecz chybił. Wtedy ten szarpnął za karabin, aby wyciągnąć bagnet z piersi Moskala, lecz szarpnął za silnie, bo stracił równowagę i wpadł w mętne fale Berezyny.

Woda zakryła go przed okiem Moskala, który w tej chwili pobiegł ku swym towarzyszom.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ŻNIWA.



Żniwa, żniwa, chrzęści niwa
Pod sierpami wzdłuż i wszerz!
Gospodarzu, zagrodniku,
Wielki czy mały rolniku,
Ze żniwami ty się spiesz!

Boć pogodnie, toć dogodnie
Zżynać, wiązać, kopić wczas
I dziewczęta i parobcy
I wy starsi i wy chłopcy,
Byle zgodnie, byle wraz!

I ty leniu, co gdzieś w cieniu
Tylko leżeć chciałbyś wciąż,
Chodźno, chodźno i ty z nami
Z sierpem z kosą lub z grabiami,
Albo snopy składnie wiąż!

Poszczęść Boże o tej porze!
Z łaski Twojej wola Twa,
Niechaj szczęśliwie zbieramy
Dary Twoje, jakie mamy,
Niechaj z nich chleb kraj nasz ma.

Szczepan Orzech.

NA POBOJOWISKU.



Gdy nam umrze ktoś drogi z rodziny, łzy wylewamy nad jego trumną, modlimy się za nim do Boga, aby raczył go przyjąć do swo jej chwały. A gdy już spocznie w zimnym grobie, odwiedzamy jego mogiłę, sadzimy na niej krzewy i kwiaty, a wtedy zdaje się nam, że ten miłowany przez nas, przebywa między nami i widzi naszą troskę o niego.

Nie każdy jednak umiera na łożu wśród bliskich sobie! Jedni rozbici na dnie morskiem giną, inni wśród bitew zaścielają pola swemi ciałami a tak jednym jak i drugim niema kto żałobnej pieśni zanucić, niema kto zamknąć oczu na wieczny spoczynek, niema kto pomodlić się nad ich grobem.

A grób ich, to głębokie nurty wody, lub piasek lotny, albo zwiędłe liście wiatrem naniesione.

Spoczywający na dnie morskiem są pokarmem dla ryb ludożerczych, padli na pobojowisku stanowią ucztę dla stad wron i kruków.

Oto i na dzisiejszym obrazku widzimy zwłoki padłego żołnierza. Obok niego nieżywy koń, dzielny towarzysz doli i niedoli oraz szczątki roztrzaskanego wozu. A ponad tem wszystkiem unoszą się czarnopióre kruki, zadowolone, że uczta obfita oczekuje na nich.

Ucztę przerwało trzech rycerzy. Ale ci, westchnąwszy za duszę zmarłego, pojadą dalej a kruki znowu rozpoczną stypę niczem niezamąconą.

PIORUNY.

Jak wiadomo, piorun jest iskrą elektryczną olbrzymich rozmiarów, która wyładowuje energię elektryczną w tysiącznej części sekundy. Prąd elektryczny biegnie zawsze drogą najmniejszego oporu, więc po najlepszych, o ile możności, przewodnikach. Dlatego umieszczamy na domach piorunochrony. Silny drut miedziany idzie od szczytu dachu aż do ziemi, a właściwie w ziemię aż do wody gruntowej i tutaj zakończony jest siecią metalową. Taki przewód elektryczny dobrze wykonany, jest znakomitą ochroną przed piorunem, ale kiedy jest wadliwy, staje się tem niebezpieczniejszy. Iskra elektryczna przeskakuje z niego na dom i sieje zniszczenie.

Pioruny podlegają niezmiennym prawom przyrody czasem, jednakże prawa te wywołują tak dziwne zjawiska, że nawet uczeni nazywają je kaprysami piorunów.

Zajmujący ich szereg spisał Leon Brenner, który pracował w obserwatoryum Manora i z książki jego przytaczamy niektóre wypadki. Oto dosyć często zdarza się, że piorun zrywał z ubrania porażonej osoby części metalowe np. guziki, odrzucał je daleko, albo stapiał, nie wyrządzając trafionej osobie żadnej szkody. Pewnemu wieśniakowi, pijącemu wodę ze studni metalowym kubkiem, piorun wytrącił kubek z ręki, a pewnej kobiecie wyrwał z rąk druty razem z pończochą. Innym osobom piorun wydzierał z kieszeni zegarki lub klucze, rozdzierając kieszenie, ale nie uszkadzając ciała.

Zdarzały się wypadki, że piorun zrywał z ludzi ubrania. Ludzie przy tej sposobności ginęli, ale czasem wychodzili cało. Wyglądałoby to na zmyślenie, gdyby nie było stwierdzone z wszelką stanowczością. I tak dnia 25 sierpnia 1897 roku, został zabity przez piorun major Jameson koło Hulfort House pod Guilfordem. Piorun rozdarł mu czapkę, spalił włosy, uszkodził prawą rękę, a wreszcie rozebrał go zupełnie, od krawatki aż do skarpetek i kamaszów, skarpetki potargane, ale ubranie zostało zdjęte jakby przez służącego.

Inny wypadek zdarzył się we Francyi koło Courcelles-les Sens. Na polu stały dwie dziewczyny: 9-letnia Filomea Escalbert i 22-letnia Adela Delafire, obok 44 letniej mężatki Leony Legere. Nagłe uderzył w nie piorun. Pani Legere została zabita, obie zaś dziewczyny padły ogłuszone. Gdy odzyskały przytomność, spostrzegły, że są zupełnie nagie. Nawet trzewiki leżały daleko odrzucone. Dnia 11 sierpnia 1855 r. w departamencie Haute Saone piorun zdarł suknie z jakiegoś przechodnia, który padł bez przytomnożci, ale wkrótce przyszedł do siebie.

W r. 1900 radca miasta Wormacyi Mundorf na podmiejskiej posiadłości swojej szedł za pługiem, którym kierował. Zerwała się burza i wtedy Mundorf powierzył pług parobkowi. W chwili, gdy pług przechodził z ręki do ręki, padł piorun. Iskra elektryczna wypaliła otwór w słomkowym kapeluszu Mundorfa, przeleciała na szyję, którą oparzyła, rozdzierając kołnierzyk, poczem przeskoczyła na pług i przeszła w ziemię. Mundorf przy pomocy parobka zdołał pieszo dojść do domu i po kilku dniach miał się zupełnie dobrze, stracił tylko pamięć. Parobek opowiadał, że w chwili uderzenia piorunu, czuł jakby bardzo silny policzek.

Zwykły piorun tak szybko działa, że rażony nim nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, co się dzieje. Natomiast piorun kulisty jest przerażający. Zjawia się w kształcie kuli, wielkości sporego jabłka i odbywa dziwaczną wędrówkę, wybuchając wreszcie z siłą, wobec której najsilniejsze bomby są niewinną zabawką. Wander opisuje w następujący sposób taką kulę: Podczas gwałtownej burzy znajdowałem się na folwarku w gminie Beugnon (Deuxsevres) z dwojgiem dzieci od 12 do 13 lat życia. Dzieci przed deszczem schroniły się w drzwiach stajni, w której znajdowało się 15 sztuk bydła. Przed stajnią rozciągało się podwórze aż do sadzawki odległej o 20 metrów, nad którą rosła topola.

Nagle na szczycie topoli zjawiła się kula ognista wielkości jabłka, która spływała po gałęziach, a wreszcie wzdłuż pnia dostała się na ziemię. Toczyła się potem powoli przez podwórze, jak gdyby szukała drogi pomiędzy kałużami. W ten sposób zbliżyła się do wrót stajni, gdzie stały dzieci. Jedno z nich dotknęło kuli stopą. Natychmiast nastąpił straszny wybuch. Dzieci padły na ziemię. Sądziłem, że są zabite, tymczasem nic się im nie stało, natomiast w stajni zginęło 11 sztuk bydła.

POZIOMKA.

Ponad pola, dąbrowy, w ciepły wieczór lipcowy
Mkną Anieli w gwieździste niebiosy,
I roślinki spragnione, skwarem dziennym zemdlone
Chlodzą, rzeźwione kropelkami rosy.

Gdy na niebo przeczyste weszło słońce złociste,
Zalśnią łany zbóż i drzew bisiory,
A krople zwisające sieją blasków tysiące
I mienią się w tęczowe kolory.

Jak brylancik niewielka, jedna rosy kropelka
Padła w listek niewielkiej jagódki..,
— „Ach, klejnotku prawdziwy!“ — I aż rumieniec żywy
Oblał lica poziomki malutkiej.

Tak ją roślinka tuli: — „Luli mój skarbie, luli!“
I cieszy się tą jedną kropelką...
Aż się łan zbóż i drzewa gorszy tem i zdumiewa
Nad uciechą tak szczęsną i wielką.

— „Cóż ty się tak radujesz? tej kropli przypatrujesz?
Patrz, co na nas pereł rosy lśniących...
My je z siebie strząsamy, takie ich mnóstwo mamy
Od Aniołów, co dnia je znoszących.

Toć nie ma w tem dziwoty; nie żadne to klejnoty,
Jeno rosa najzwyklejsza w świecie.
Ani o nią prosimy, ani się nią cieszymy
Tak niezmiernie, jak ty, marny kwiecie.

Tak pyszniło się zboże, tak drwiły świerki w borze,
Snać niepomne: że rosa — dar nieba,
I że czyni najgorzej — kto prześmiewa dar Boży,
Za który nam dzięki czynić trzeba.

Słonko w górę się wzbiło, rosę z kłosów wypiło,
Żar z świerkowych kolek ją wypali...
Przyszli żeńcy i drwale i w południa upale
Zżęli kłosy, pyszny las zrąbali!

Tylko skromna jagódka, której kropla malutka
Tyle, tyle sprawiła radości,
Tylko poziomka mała z pogromu ocalała...
Od niej dziatki uczmy się skromności.

Jacek Obrochta.

ROZBITKI Z BALONU.

ROZDZIAŁ XI.

Przeczucia. — Projekt Ayrtona. – Więźniowie z Norfolka. — Ich zamiary. — Czyn Ayrtona. — Powrót. — Sześciu przeciwko pięćdziesięciu.

Zamiary korsarzów żadnej nie pozostawiały wątpliwości. Zarzuciwszy kotwicę w małej odległości od wyspy, wyraźnie zamierzali wylądować nazajutrz. Cyrus i jego towarzysze poczynili wszelkie przygotowania do obrony. Może obecność ich da się ukryć, jeżeli korsarze poprzestaną na zwiedzeniu wybrzeży, nie zapuszczając się w głąb wyspy? Może zamierzają tylko zaopatrzeć się w wodę słodką z rzeki Mercy, a w takim razie byłoby niepodobieństwem, żeby most rzucony blisko o półtorej mili od ujścia i składy drzewa przy Kominach nie zwróciły ich uwagi.

Ale cóż znaczy rozwinięta bandera, na co ten wystrzał armatni?... Albo to prosta zabawka, albo też jest to oznaka, że zajmują wyspę w posiadanie. Teraz już Cyrus wiedział, że okręt jest uzbrojony armatami, przeciw którym koloniści mieli tylko strzelby.

— Wszystko zależy od liczby — rzekł reporter. — Damy sobie radę, jeżeli ich jest dziesięciu, ale czterdziestu, pięćdziesięciu a może i więcej!...

— Panie Smith — rzekł Ayrton, zbliżając się do inżyniera — chciałbym prosić pana o pozwolenie. Chcę udać się na ten okręt, aby się przekonać o jego sile i liczbie osady.

— Ależ Ayrtonie — odrzekł inżynier — chcesz uczynić więcej, niż tego wymaga obowiązek. Naraziłbyś swoje życie!

— Bo też ja powinienem czynić więcej.

— Czy wiesz, że bryg stoi o milę i ćwierć od brzegu? — zapytał Harbert.

— Nic nie szkodzi, pływam doskonale.

Wszyscy razem udali się na wybrzeże. Tam Ayrton rozebrał się i wysmarował tłuszczem, aby mniej czuć zimno wody, w której może długo będzie zmuszony pozostać. Jednocześnie Penkroff i Nab poszli sprowadzić łódź, uwięzaną o kilkaset kroków wyżej, nad brzegiem Mercy. Gdy wrócili, Ayrton był już gotowy do wycieczki. Zarzucono na niego kołdrę i towarzysze pożegnali uściśnieniem dłoni. Odpłynął wraz z Penkroffem.

Przepłynęli kanał i przymocowali łódkę na wybrzeżu, z przeciwnej strony wysepki. Po bacznem rozejrzeniu zdawało się pewnem, że korsarzy nie było na wysepce; przebiegli ją, poczem Ayrton bez wahania rzucił się w morze i popłynął cicho w kierunku okrętu, na którym właśnie zapalono światła.



...podniósł latarkę ku twarzy Ayrtona.

Penkroff wsunął się w załom nadbrzeżnej skały, oczekując na powrót swego towarzysza.

Ayrton płynął, silnie robiąc rękami, lecz tak cicho, że powierzchnia wody wcale się nie poruszała. Głowę tylko wychylił nieco z wody, nie spuszczając z oka brygu, którego światełka odbijały się w wodzie. Prąd go unosił, szybko więc oddalał się od brzegu. W pół godziny niedostrzeżony dopłynął do okrętu. Tu zaraz wdział na siebie jedne z suszących się spodni marynarskich i umieściwszy się, jak mógł, zaczął się przysłuchiwać.

Na pokładzie rozprawiano, śpiewano i śmiano się wesoło, a wśród tego różne odzywały się przekleństwa. Oto co z rozmowy posłyszał Ayrton.

— Dobry to nabytek ten nasz bryg.

— Doskonale płynie nasz »Speedy, godzien swej nazwy*).

— No! niech teraz cała marynarka Norfolska uda się za nim w pogoń — możemy jej pokazać figę.

Łatwo pojmiemy, jakiego wrażenia doznał Ayrton, usłyszawszy ten urywek rozmowy, gdy dowiemy się, że w owym przywódcy poznał jednego z dawnych towarzyszów z Australi, doskonałego i śmiałego marynarza, który dawno zbrodniczy zamiar doprowadził do skutku. Bob Harwey opanował ten bryg, stojący przy wybrzeżach Norfolk, doskonale uzbrojony, zaopatrzony w amunicyę, wszelkie narzędzia i potrzeby. Cała jego banda dostała się na pokład, z zesłańców zmieniając się w korsarzy; nędznicy ci napadali i rabowali okręty, mordowali osady i byli stokroć okrutniejsi od Malajczyków.

Wysepka Norfolk leży w Australii wschodniej i ma sześć mil obwodu. Jest to osada angielska, do której wysyłają największych przestępców. Bywa ich pięciuset; pilnuje ich 150 żołnierzy i 150 urzędników pod zwierzchnictwem gubernatora. Trudno sobie wyobrazić, jak straszni są to zbrodniarze. Pomimo nadzwyczaj ścisłego nadzoru, niektórym udaje się uciec. Tak postąpił Bob Harwey i jego towarzysze; tak niegdyś zamierzał postąpić Ayrton. Bob Harwey zagarnął bryg »Speedy«, stojacy na kotwicy w pobliżu wyspy Norfolk; wymordował osadę i od roku już bryg pływał po morzach Oceanu Spokojnego pod dowództwem Harwey'a zdolnego marynarza, dawniej zesłańca, a dziś korsarza.

Większa część zesłańców zebrała się w tylnej izdebce, a niektórzy rozciągnięci na pomoście, rozprawiali głośno, pijąc nieustannie. Z ich rozmowy Ayrton dowiedział się, że przypadek jedynie sprowadził »Speedy« na wody Linkolna. Harwey dotąd nic o niej nie wiedział i jak trafnie domyślał się Cyrus Smith, zobaczywszy ziemię, nie oznaczoną na

*) W języku angielskim *speedy* znaczy czynny, dzielny.

żadnej mapie, postanowił ją zwiedzić, a nawet zająć, jeśliby się to okazało korzystnem.

Co się zaś tyczy wywieszenia czarnej bandery i strzału danego z armaty, jak to czynią okręty wojenne w chwili rozwinięcia flagi, była to prosta zabawka a nie żadne hasło, gdyż dotąd korsarze nie mieli żadnych stosunków z wyspą Linkolna.

Tak więc państwu kolonistów wielkie zagrażało niebezpieczeństwo. Niewątpliwie wyspa, tak łatwo dostępna, ze swoim przyrodzonym portem i zasobami, tak umiejętnie wyzyskiwanymi przez kolonistów, ze skrytemi podziemiami Granitowego pałacu, pewnie spodoba się korsarzom. Zająwszy ją, zapewniliby sobie doskonałe schronienie, a samo to, że zupełnie była nieznana, zapewniało im na długo może bezkarność i bezpieczeństwo. Niewątpliwie także Bob Harwey rozkazałby bez litości wymordować kolonistów.

Może w godzinę po jego dostaniu się na okręt, wrzaski i pijatyka ucichły i wielu zesłańców zatonęło w głębokim śnie. Wtedy Ayrton spróbował dostać się na pokład, który po zgaszeniu świateł został pogrążony w ciemnościach. Po wielu usiłowaniach udało mu się dostać na wyniesienie z przodu okrętu; wtedy, przesuwajac się ostrożnie między leżącymi tu i ówdzie korsarzami, obszedł cały statek i przekonał się, że »Speedy« uzbrojony był czterema działami, które zapewne rzucały kule ośmio i dziesięcio-funtowe. Mógł nawet przekonać się, że były nabijane od tyłu. Były to więc działa, które łatwo obsługiwać, a straszne w swych skutkach. Korsarzy śpiących na pokładzie naliczył dziesięciu, należało wnosić z ich rozmowy, że było ich na pokładzie pięćdziesięciu. W tej właśnie chwili człowiekowi temu, który — jak to powiedział — pragnął zrobić więcej nad swój obowiązek, przyszła do głowy myśl, aby poświęcić życie dla ocalenia wyspy kolonistów. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, Cyrus Smith nie zdoła oprzeć się pięćdziesięciu tak doskonale uzbrojonym bandytom. I w myśli przedstawił sobie swoich zbawców, którzy utworzyli z niego człowieka i to człowieka uczciwego, którym winien był wszystko, pomordowanych bez litości, ciężką ich pracę obróconą w perzynę, a wyspę zamienioną w jeskinię korsarzy. Wtedy ogarnęła go nieprzeparta żądza wysadzenia w powietrze brygu, osady i wszystkiego, co się na nim znajdowało. On także zginie, lecz spełni swój obowiązek.

Nie zawahał się. Najpierw, co nie było zbyt trudne, należało dostać się do prochowni, mieszczącej się w tyle okrętu. Na statku, trudniącym się morskim rozbojem, prochu musiało być poddostatkiem, dość było rzucić weń iskrę, aby niezwłocznie wysadzić w powietrze.

Ayrton przesuwał się ostrożnie po pomoście wśród śpiących korsarzy. U stóp wielkiego masztu płonęła okrętowa latarnia, a ponad nią porozwieszana była broń różnego rodzaju i kalibru. Ayrton zdjął jeden rewolwer i przekonał się, że był nabity. Było to dostateczne do dokonania dzieła zniszczenia. Skierował się więc ku tyłowi okrętu, gdzie w najniższej części musiał się mieścić skład prochu. Między dwoma pomostami było zupełnie ciemno, niepodobna więc było, przekradając się tamtędy, nie potrącić którego ze śpiących zbrodniarzy, co wywoływało gniewy i przekleństwa. Kikakrotnie Ayrton zmuszony był zatrzymać się i przyczaić; nareszcie jednak doszedł do ściany, odgradzającej tył okrętu i znalazł w niej drzwi, które niezawodnie prowadziły do składu prochu. Drzwi te były zamknięte na kłódkę. Chcąc się dostać do składu, trzeba ją było oderwać. Nie łatwe było zadanie dokonać tego bez chałasu, szczęściem Ayrton był nadzwyczaj silny, ukręcił więc kłódkę rękami i otworzył drzwi. W tej chwili uczuł ciężką dłoń na ramieniu...

— Co tu robisz? — zapytał grubym głosem wysoki mężczyzna, nagle wysuwając się z ciemności i trzymaną w ręku latarkę podniósł ku twarzy Ayrtona.

Ayrton w tył odskoczył; przy przelotnym błysku latarki poznał dawnego swego wspólnika, Boba Harweya, który ze swej strony nie poznał go zupełnie — może dlatego, iż pewny był, że dawno nie żyje.

Nic nie odpowiadając, Ayrton silnie odepchnął przywódcę korsarzy i chciał wpaść do składu prochu. Jeden wystrzał z rewolweru pomiędzy te beczki z prochem, a wszystko się skończy.

— Hej, koledzy! — krzyknął Bob Harwey.

Kilku bandytów zerwało się, usłyszawszy krzyk dowódzcy i rzucili się na Ayrtona, chcąc go pochwycić; ale Ayrton posiadał olbrzymią siłę, zdołał im się wydrzeć. I natychmiast dał dwa strzały z rewolweru; dwóch rabusiów padło, ale Ayrton został nożem raniony w ramię.

Widział teraz, że niepodobna było wykonać powziętego zamiaru. Nie mogąc zginąć wraz z okrętem, Ayrton chciał walczyć przy boku Cyrusa — trzeba więc było uciekać. Ale ucieczka była nader trudna, a nawet bardzo wątpliwa. Miał jeszcze cztery strzały. Dał ognia dwa razy; jeden strzał skierował na Boba Harweya, ale albo nie trafił, albo zranił nie niebezpiecznie; korzystając z chwilowego popłochu i cofnięcia się nieprzyjaciół, skoczył na drabinę, a stamtąd dostał się na pomost brygu. Przechodząc około latarni, rozbił ją kolbą rewolweru, aby wśród ciemności łatwiej mu było uciekać.

Zbudzeni odgłosem wystrzałów, rozbójnicy zaczęli wchodzić na drabinę; w tejże chwili piąty strzał z rewolweru Ayrtona zrzucił jednego na dół, inni cofnęli się niezwłocznie, nie pojmując, co się stało. Ayrton w dwóch skokach dostał się na pokład, poczem wystrzeliwszy raz jeszcze do korsarza, co go chciał pochwycić, przeskoczył parapet i rzucił się w morze.

Zaledwie odpłynął kilkanaście kroków, grad kul posypał się za nim. Koloniści zaczajeni w Kominach, na odgłos wystrzałów z brygu wypadli z bronią na wybrzeże, aby być gotowymi do obrony. Nie wątpili, że korsarze schwytali i zamordowali Ayrtona i może korzystając z ciemności, zamierzali dostać się na wyspę.

Nareszcie po północy łódź przybiła do brzegu. Był to Ayrton lekko raniony w ramię i Penkroff zdrów i cały. Towarzysze uściskali ich z radości i wszyscy schronili się do Kominów. Tam Ayrton opowiedział szczegóły swej wycieczki, nie ukrywając i tego, że zamierzał bryg wysadzić w powietrze. Gdy to oświadczył, wszyscy wyciągnęli do niego ręce.

— Czy jest jaka nadzieja ocalenia, panie Cyrusie? — zapytał marynarz.

— Tak Penkroffie.

— Hmm, sześciu przeciw pięćdziesięciu!

— Tak sześciu... ale nie liczymy...

— Kogo?

Zamiast odpowiedzi Cyrus wskazał ręką niebo.

(Ciąg dalszy nastąpi).



MACIEK BZDURA GADA:

Jak się człekowi chce jeść, to se sam poi, jak się chce pić, to sie sam napije, jak sie mu chce spać, to się sam wyśpi, a nawet jak mu się chce pobawić, to choćby piaskiem na gościńcu, to się sam pobawi. Inacej ma się rzec z kochaniem! Choćbyś był, niewiem jakiem organistą, to trzeba ci do kochania drugi osoby i to koniecnie dzieuchy albo baby.

La cego tak jest, to nie wiem, ale ze jest, to jest, bo już tak Pan Jezus świat stworzył.

Dadzą ci gosposia don'ckę zimniaków, albo miseckę baszcu, to nie bedzies do tego wołoł ani Maryny ani Kaśki, ale sam tu šturnies łyżką, tam chlapnies i w Ojcenas ze wszyćkiemeś gotów.

Trafi się napitek, w gorzołcysku abo w jaki arbacie, to ani się oglądoł nie bedzies za zadną kubitą, ale głowę psechylis, łyknies i juz po wsyćkiemu.

Do spania takze ci baba nie potrzebno a ino hadera jaka i waciołek pod głowę: jedno naciągnies na siebie, drugie pod siebie i spanie galantne tak zimą jak i latem. A nawet zdala od baby lepse, jak blisko ni, bo w bliskości to cię ino pchliska od ni obliżą.

Kces się bawić, to lepiej ci idzie choćby z miotłą abo z jakiem insem narzędziem, jak z babą, bo miotła będzie robiła to, co chces, a niewiasta nie zawse cie usłucha a często i z pazurami do ciebie skocy.

A z kochaniem to całkiem inacy! Choćbyś bez cały dzień sam do siebie ślipie przewracał, choćbyś wzdychał jak organistowe dudy na chórze w kościele, to ci nic z tego nie przyjdzie, bo tak do przewracania ślipiami jako i do wzdychania musi być ktosik, ktoby to widzioł i słysoł. A do tego tem ktosiem, musi być niewiasta, bo do chłopa ani przewracanie ani wzdychanie nigdy się nie uda.

Do kochania musi być więc ona i on. Ona sama ani on sam nic nie poradzą i z taki mąki nigdy chleba nie będzie.

A nie ino, ze musi być ona i musi być on, ale ona musi chcieć i on musi chcieć. Jak ona chce a on nie, to z cały roboty nic, ale takze nic, jak on chce a ona nie. I tem się róźni kochanie od jedzenia, spania, picia i bawienia się. Przy tamtem wystarca, jak jedno chce, a przy kochaniu muszą oboje.

Bez to wszyćko niech się ludzie nie dziwują, ze ja w kawalerstwie chodzę, bo z mojem kochaniem jest tak, ze »one« wsyćkie i wsiowe i miastowe chcą, a ja jakosik ani rus nie chcę, bo wiem, ze póty scęśliwości, póki se człek na kark baby i dziecisków nie weźnie.

Walka z bandytami.

W ubiegłą niedzielę Szczakowa była widownią walki urzędników policyi z bandytami. Walka była zacięta i skończyła się śmiercią jednego zbója. Od strony Szczakowy pełnił w południe patrolującą służbę starszy strażnik skarbowy Kossanowski. Idąc wzdłuż toru kolejowego, zauważył w odległości mniej więcej półtora kilometra od Szczakowy dwóch mężczyzn, zmierzających ku dworcowi kolejowemu. Ludzie ci wydali się p. Kossanowskiemu podejrzanymi, gdyż, zobaczywszy go w mundurze i z bronią, zwrócili się ku wsi Szczakowa. P. Kossanowski, przypuszczając, że podejrzani przyjdą w każdym razie na dworzec do pociągu, odchodzącego do Trzebini, udał się do ekspozytury policyi i zawiadomił o swych spostrzeżeniach kancelistę policyjnego, Schröttera. Kancelista polecił ajentom Szubińskiemu i Pawliszowi doprowadzenie podejrzanych do biura policyjnego, gdy nadejdą na dworzec. Ajenci przytrzymali podejrzanych mężczyzn; tuż przed biurem jednak zbiegli obaj prowadzeni. Oficyał Schrötter oraz ajenci Szubiński i Pawlisz puścili się za uciekającymi w pogoń. Na placu kolejowym pierwszy p. Schrötter dobiegł do jednego z uciekających i usiłował go przytrzymać. Ten dobył rewolweru i dał cztery strzały do p. Schröttera, a dwa do ścigających go robotników. P. Schrötter skrwawiony upadł na ziemię; robotnicy zatrzymali się, a bandyta, strzelając, uciekał dalej wzdłuż domów. Huk strzałów zaalarmował dworzec i mieszkańców. Komisarz policyi Dr Rączka, pełniący służbę po drugiej stronie peronu, wziął udział w pościgu, zachęcając kolejarzy i robotników do pomocy w ujęciu bandytów. Od czasu do czasu w ucieczce zatrzymywali się bandyci strzelając; odległość była wszakże zbyt znaczna, by strzały mogły trafić ścigających. — Po przejściu przez rzeczkę i bagno, bandyci rozbiegli się w różnych kierunkach. Jeden z nich pobiegł do lasku na pagórku, i tego zdołano ze wszystkich stron osaczyć. Widząc się otoczonym, pogroził rewolwerem, poczem skierował broń w prawą skroń. Rozległ się huk i bandyta runął na ziemię.

Drugi bandyta uciekał z początku ku Jaworznu; nagle zmienił kierunek i puścił się ku Ciężkowicom. Pościg trwał już blisko trzy godziny; ściganego jednak, o ile było widać, siły wcale nie opuszczały. W pobliżu Ciężkowic do pościgu przyłączył się żandarm Grzybek ze Szczakowy. Bandyta, gdy coraz więcej ludzi przyłączało się do pościgu, znalazł się w położeniu bez wyjścia. Przed nim zjawił się nagle patrol żandarmeryi z Ciężkowic, kierując w jego stronę karabiny. Widząc, że dostanie się w ręce żandarmeryi i że dalsza walka będzie bezowocną, ścigany skierował do siebie dwa strzały. Ścigający widzieli dokładnie przyłożoną dwukrotnie szybkim ruchem lufę do głowy i błysk ognia. Bandyta padł na miejscu. Pospieszywszy ku niemu, przekonano się, że kule roztrzaskały czaszkę i śmierć nastąpiła natychmiast. Przy trupie znaleziono rewolwer t. zw. brauning z 11 magazynami i około 100 naboi; kartkę z napisem Roman Mielnik i metrykę w języku rosyjskim, wydaną przez urząd parafialny w Zwinczy na nazwisko Romana Mielnika, liczącego lat 22, ze Skomorosza. W Szczakowej powszechnie przypuszczają, a to na podstawie rysopisów, że Józefowicz i Mielnik są sprawcami napadu i morderstwa, dokonanego w Dziedzicach na osobie ks. Macoszka. Bandyci wtargnęli wówczas na plebanię, w barbarzyński sposób znęcali się nad swą ofiarą, a następnie dokonali rabunku. Ks. Macoszek umarł wskutek odniesionych ran.

Z TYGODNIA.

Sprawa uniwersytetu ruskiego. Minister oświaty Hussarek oświadczyć miał prezesowi klubu ukraińskiego, posłowi Lewickiemu, że rząd przedłoży z końcem sierpnia Kołu polskiemu i klubowi ukraińskiemu projekt nowego orędzia cesarskiego w sprawie uniwersytetu ruskiego, uwzględniającego życzenia obu narodowości. — Rząd chce przez to korzystnie wpłynąć na mające się rozpocząć we wrześniu rokowania polsko-ruskie w sprawie reformy wyborczej. W orędziu tem ustanowiony będzie dla utworzenia uniwersytetu ruskiego termin sześcioletni, do którego to terminu wliczony będzie r. 1912.

O ugodę czesko-niemiecką. W kołach politycznych utrzymuje się przekonanie, że bieżące dni będą rozstrzygające w sprawie rokowań ugodowych. Według wszelkiego prawdopodobieństwa w ciągu ostatnich dni miesiąca referat ugodowy przedłożony zostanie obu pełnym zgromadzeniom: czeskiemu i niemieckiemu. Jeśliby uzyskał ich uznanie, komisye obu stron przystąpią do jego potwierdzenia, poczem nastąpi bezzwłoczne zwołanie sejmu czeskiego.

Umorzenie procesu przeciw Kovacsowi. Posła Kovacsa, uwięzionego z powodu zamachu rewolwerowego na prezydenta sejmu węgierskiego hr. Tiszę, poddano lekarskiej obserwacyi. Są czynione zabiegi co do umorzenia śledztwa i uwolnienia Kovacsa bez sądu. Rząd węgierski nie chce jawnego procesu, podczas którego Kovacs mógłby wygłosić płomienne mowy przeciw Tiszy — nie mówiąc już o tem, że przysięgli stolicy mogliby wydać wyrok uwalniający.

Niemczenie u kołyski. Nie wystarcza już rządowi pruskiemu niemczenie dzieci szkolnych, obecnie sięga się już do kołyski. Regencya poznańska wydała rozporządzenie nakazujące ćwiczenie w szkołach niemieckich piosenek przy kołysce, czyli tak zwanych kołysanek. Mianowicie starszym dzieciom, które w czasie wolnym od nauki szkolnej doglądać muszą młodsze rodzeństwo, ma się w szkole przyswajać takie piosenki. Szczególnie mają nauczyciele tego rodzaju piosenki niemieckie powtarzać podczas lekcyi śpiewu z dziewczętami polskiemi wyższych klas. Zmierza to do tego, aby dziewczęta polskie wyśpiewywały niemieckie piosnki swoim młodszym braciszkom i siostrzyczkom w kołyskach. Z pewnością jednak tego nie uczynią; przecież mamy dość własnych, pięknych polskich kołysanek do przyśpiewywania dzieciom w kolebkach.

Starcie graniczne pomiędzy Turkami a Czarnogórcami. Między wojskiem tureckiem a nadgraniczną ludnością czarnogórską przyszło do krwawego starcia w pobliżu jeziora Skutari w dolinie Zeta. Do dwóch Czarnogórców, którzy uprawiali ziemię na terenie czarnogórskim, nagle zaczęli strzelać żołnierze tureccy z pobliskiego obwarowania i poranili ich. Na odgłos strzałów przybyło na pomoc kilkunastu Czarnogórców. Turcy dali na to kilka salw, przyczem padło 9 Czarnogórców a 5 odniosło ciężkie rany. Gdy Czarnogórcy, którzy byli nieuzbrojeni, cofnęli się, żołnierze tureccy przeszli granicę i pastwili się nad zwłokami Czarnogórców, zadając im pchnięcia bagnetami. Ludność nadgraniczna w Czarnogórze jest tem zajściem ogromnie wzburzona.

Spisek oficerski w Turcyi. Z Konstantynopola nadchodzą w dalszym ciągu poważne wiadomości o spisku wojskowym, który rozszerzył się na całą Turcyę. Oficerowie-dezerterzy przysięgli, że nie powrócą do koszar, dopóki rząd nie przyjmie wszystkich warunków, stawianych przez Albańczyków i przez wojsko. Oficerowie wszystkich korpusów oświadczają, że solidaryzują się z Albańczykami i dezerterami. Przywódcy albańscy idą ręka w rękę z wojskiem. Dezerterzy są pewni zwycięstwa. Pułki tureckie z innych garnizonów nie chcą iść na Albańczyków. Aby je skłonić do wymarszu, powiada się im, że mają iść ku granicy greckiej. Jak twierdzą, spisek powstał głównie z powodu niezadowolenia z komitetu młodotureckiego. Jest rzeczą pewną, że oficerzy tureccy wszystkich korpusów zobowiązali się pod przysięgą, iż nigdy nie dadzą się użyć do tłumienia rozuchów w Albanii, bo Albańczycy domagają się autonomii, a ta im się słusznie należy. Z powodu spisku wojskowego nastąpiło przesilenie gabinetowe w Turcyi. Rzecz prosta, że rząd, który do tego dopuścił u władzy nie mógł się utrzymać. Nowo utworzony rząd zapewne przywróci porządek.

Z wojny włosko-tureckiej. W zeszłym tygodniu doniosły gazety o ataku floty włoskiej na cieśninę Dardanelską. Zrazu zaprzeczono wiadomości, ustalono jednak, że atak się odbył, lecz bez skutków. Mianowicie dnia 18 b. m. o północy udało się małej flotyli torpedowców wpłynąć do Dardanel. Wobec silnego oświetlenia cieśniny, jakoteż i ostrzeliwania z brzegów i z okrętów, uznał komendant flotyli akcyę za ukończoną i dał rozkaz do powrotu. Mimo gwałtownego ognia dział tureckich, torpedowce odniosły tylko nieznaczne uszkodzenia. Dzienniki włoskie donoszą, że akcya floty włoskiej na morzu Egiejskiem będzie w najbliższych dniach wzmożona, a celem jej będzie wyspa Kios. Celem skuteczniejszej akcyi flotowej weźmie w niej udział balon sterowy, który już od kilku dni znajduje się w drodze.

Z Portugalii. W mieście Braga, gdzie szerokie koła ludności sympatyzują z monarchistami i popierają ich zamiary, zbuntowała się także i tamtejsza załoga wojskowa, oświadczając się za monarchistami. Aresztowano z tej przyczyny wiele osób, pomiędzy niemi trzech oficerów i kilkunastu podoficerów. Zarazem zniesiono dla Bragi konstytucyę i ogłoszono stan wyjątkowy.

Zbrojenia bez końca. Rząd angielski, jak wiadomo, postanowił znowu powiększyć swoją flotę i wypracował już odpowiedni plan, który ogłoszono urzędowo. Rząd domaga się uchwalenia sumy 99 tys. funt. szterlingów (przeszło 2 miliony koron) rocznie na cele powiększenia wojska morskiego o 15 tysięcy żołnierzy, 296 tys. funt. szterl. na budowę okrętów jako dodatek do pierwotnego etatu, dalej dokładki 315 tys. funt. szterl. na nowe maszyny okrętowe, 54 tys. na armaty, 97 tys. na amunicyę i torpedy, 20 tys. na balony sterowe. Reszta przeznaczoną ma być na wypłatę żołnierzy, prowianty itp.

Kobiety angielskie walczące o swe prawa. Zuchwałość i zaciekłość angielskich »sufrażystek«, żądnych praw politycznych, przechodzi wszelkie granice. Na przedstawieniu jakaś sufrażystka rzuciła na prezydenta ministrów Asquitha fotelem, nie trafiła go jednak, gdyż fotel wpadł do orkiestry. W zamieszaniu sufrażystka uciekła. Inna na ulicy rzuciła nań siekierę. Gdy minister spraw wewnętrznych, Mac Kenna, chciał zabrać na zgromadzeniu głos, przystąpiła do niego jakaś sufrażystka, która złapała go za kołnierz i nie pozwoliła mu mówić. — Sufrażystkę tę aresztowano. Kobiety angielskie walczące o prawa polityczne, w ten sposób z pewnością do niczego nie doprowadzą, ośmieszają się tylko przed całym światem.

KRONIKA.

Przeciw pijaństwu. Na ostatnim kongresie przeciwalkoholowym we Lwowie uchwalono między innemi wznowić sprawę zamykania szynków w niedziele oraz skłonić rząd do zakazania potajemnego szynkowania wódki w gminach, które oświadczyły się przeciwko propinacyi. Kongres zwraca się też z prośbą do władz, do konsystorzy i kas chorych, by zbierały cyfry co do alkoholizmu. Ponieważ wielu lekarzy stoi na stanowisku, że nałogowe używanie alkoholu jest chorobą przewlekłą, zjazd domaga się stworzenia zakładu leczniczego dla alkoholików, jak to już ma miejsce za granicą. Rząd i kraj powinny pospieszyć z pieniężną pomocą. Dalej postanowił kongres wysłać deputacyę do namiestnika z prośbą, by ustawa o pijaństwie była należycie wykonywana. Dalej zwraca się kongres do sądów opiekuńczych, by popierały w swej działalności ruch przeciwalkoholowy. Przy zakończeniu zjazdu podniósł jeden z mowców, że trzeci polski kongres przeciwalkoholowy, dzięki solidarności pracowników z pod trzech zaborów, odsłonił tak wyraźnie naszą siłę, że od tej chwili za granicą będą mówić o odrębnym polskim ruchu wstrzemięźliwości Mowca wyraził nadzieję, że w przyszłości na ziemiach polskich zawita lepsze życie, gdy tylko myśl wstrzemięźliwości głębiej zapuści w nie swe korzenie. Większa część społeczeństwa zdaje sobie sprawę z tego, że codziennie pod trzema zaborami prowadzimy wojnę, wojnę żmudną i ciężką w obronie ducha polskiego. I jeśli cała Europa śmiała się, że do wojny z Japonią żołnierz rosyjski szedł pijany, czyż i z nas by się nie śmiali, gdybyśmy do wojny, którą prowadzimy o nasz byt narodowy i utrzymanie religii, także szli pijani.

(J. K.). **Poświęcenie kościoła.** Przed kilkoma dniami obchodziła wieś Krasne koło Złoczowa piękną uroczystość. Poświęcono tam bowiem kościół, który powstał dzięki usilnej pracy OO. Kapucynów z Kutkorza, kierownika szkoły i Dankiewicza urzędnika kolejowego w Krasnem. Wielce przyczynił się do tego dzieła Wojciech Pawluk, który dał pod kościół grunt pokaźnej wartości. Aktu poświęcenia dokonał ks. prałat dr. Błażej Jaszowski. Ze wszystkich okolic zebrała się ludność, rada, że będzie miała swego księdza i że już jej dzieci chrztu w cerkwi brać nie będą. Między obecnymi byli właściciele dóbr pp. Schnellowie i Obertyńscy, marszałek powiatu kamioneckiego Klemens Torosiewicz i poseł Władysław Dębski. Bóg zapłać wszystkim ofiarodawcom, dobrodziejom i prawnikom za wzniesienie świątyni Pańskiej w miejscu, gdzie Rusini zabierali nam dusze polskie, zupełnie spokojnie, gdzie wielu Polaków dla sprawy ojczystej bezpowrotnie ginęło.

Zaginięcie w Tatrach. W Tatrach zginęła bez wieści podczas wycieczki młoda osoba, panna Szystowska. Wielodniowe poszukiwania nie odniosły skutku. Przypuszczają, iż padła ofiarą morderstwa i rabunku ze strony juhasów węgierskich. Nie ma roku, aby Tatry nie pochłonęły kilku ofiar. Nieszczęśliwi jednak sami ponoszą winę, bo albo puszczają się bez przewodników na niebezpieczne szczyty z których spadają, albo zapuszczają się w rozległe lasy, skąd już nie wracają.

Uczniowie robotnikami rolnymi. Do filii polskiego Tow. emigracyjnego w Rzeszowie, zgłosiło się przeszło 50 uczniów gimnazyum z prośbą o ułatwienie im wyjazdu na czas wakacyi do robót rolnych na folwarkach lub do robót ziemnych. Niektórzy z tych uczniów, już w zeszłym roku spędzili wakacye w charakterze robotników ziemnych przy robotach kolejowych, gdzie z powodu sumiennej i gorliwej pracy byli bardzo mile widziani i dobrze wynagrodzeni. Rzeszowska filia P. T. E. ma nadzieję, iż uda jej się tegorocznych kandydatów poumieszczać w tych folwarkach, gdzie jest brak robotnika w grupach po 5 lub 10 i chętnie przyjmuje zgłoszenia od ziemian, który ten ruch młodzieży popierają.

Dzielny czyn wachmistrza żandarmeryi. Miasteczko Tłuste, we wschodniej Galicyi, było niedawno widownią wypadku, który snadnie przynieść mógł krwawe żniwo śmierci. Był to dzień targowy, na ulicach tłumy ludności, gwar, ożywienie. Naraz rozległy się przeraźliwe krzyki trwogi i zgrozy. Konie jakiegoś wieśniaka z Nyrkowa, w chwili, gdy ten wysiadł z wozu, spłoszyły się i w szalonym pędzie gnały ku głównej ulicy, przed kościół... A właśnie ulicą przechodziła procesya. Tłumy ludu, na przodzie dziatwa szkolna... a konie pędzą w sam środek! I oto w tej, grozą przejmującej chwili, gdy wszystko struchlało z przerażenia — wachmistrz żandarmeryi, p. Stanisław Wierzbicki, dopada koni i chwyta je oburącz za nozdrza...



Zdawało się chwilę, że dzielny człowiek zginie, podrzucany ruchami szalonych koni, tembardziej, że był w pełnej zbroi... Nadludzkim wysiłkom dzielnego człowieka udało się jednak powstrzymać konie. Uczucie ulgi ogarnęło tłumy: zewsząd zabrzmiały okrzyki wdzięczności. I istotnie, przytomności, zimnej krwi i ofiarnej energii p. Wierzbickiego zawdzięczać należy, iż wypadek ten wstrząsający nie zakończył się krwawą katastrofą.

(J. K.). **Poświęcenie sokolni.** Dnia 14 lipca byli mieszkańcy Przemyślan pod wrażeniem święta narodowego. Poświęcono sokolnię, której piękny wygląd zewnętrzny przypomina zamek wawelski w Krakowie. Całe miasto udekorowano chorągwiami i nalepkami. Muzyka chodziła ulicami, grając polskie pieśni. Na dworcu kolejowym oczekiwało Sokolstwo na przyjazd czcigodnego ks. biskupa Bandurskiego, który witany serdecznie, po nabożeństwie poświęcił Sokolnię. Na wspaniałą uroczystość przybyli Sokoli ze Lwowa z muzyką, z Brzeżan, Rohatyna, Buska, Bóbrki, Złoczowa, Winnik, Glinian, Kut koło Czerniowiec, Chodorowa, Ulanowa i banderya ze Świża. Następnie zjawiły się delegacye Towarzystwa S. L., skauci t. j. Sokoli, którym pić ani palić nie wolno a którzy przybyli ze Lwowa piechotą, szeregi straży pożarnej i wreszcie setki mieszczan i inteligencyi.

(W. S.). **Grad.** W gminach Durdy i Dąbrowica, w powiecie tarnobrzeskim, dnia 18 lipca padał grad i zniszczył dojrzewające zboże, szczególniej to, które leżało na pomieci.

Jubileusze kapłańskie. Z Niwisk, w powiecie kolbuszowskim, piszą nam: Parafia nasza święciła dnia 20 lipca b. r. uroczystość 25 letnią kapłaństwa ks. proboszcza Franciszka Kuźniarowicza. Pogoda dopisała zupełnie, to też od wczesnego ranka tłumy parafian przeciągały przez wieś. Wystrzały moździeżowe przypominały każdemu, że dziś jest uroczystość jubileuszowa Ks. Proboszcza. Uroczystość sama rozpoczęła się o godzinie 9 przed południem. Procesya wyszła z kościoła i zabrała ks. Jubilata w otoczeniu Duchowieństwa i parafian do kościoła. Sumę odprawił ks. dziekan Markiewicz z Kolbuszowej. Podczas sumy wygłosił podniosłe kazanie ks. Czerski z Trzęsówki. Po nabożeństwie odprowadziła procesya w otoczeniu duchowieństwa i wieńcu panien w bieli ks. Jubilata na plebanię. Na wstępie do plebanii złożyła życzenia dziatwa szkolna, wręczając ks. Jubilatowi wieniec kwiatów. W imieniu parafian złożył życzenia Jan Kasza, członek rady gminnej w Niwiskach. W krótkich a serdecznych słowach podziękował mu za prace poniesione dla ludu i za upiększenie kościoła, wręczając mu kielich w złocie zakupiony przez parafian. Imieniem Duchowieństwa złożył życzenia ks. Dziekan Markiewicz, dodając otuchy ks. Proboszczowi, jakoteż i parafianom, wręczając mu na pamiątkę osobliwy prezent zakupiony przez Duchowieństwo. Na zakończenie podziękował ks. Proboszcz Kuźniarowicz tak Duchowieństwu jak i parafianom, tym drugim, że tak licznie pomimo pracy polnej się zgromadzili.

(W. S.) Z Gosprzydowej piszą nam: W niedzielę 14 b. m. obchodziła parafia Gosprzydowa, w powiecie brzeskim, jubileusz 40-lecia kapłaństwa miejscowego proboszcza ks. kanonika Piotra Ciszka. Z okazyi tej uroczystości zakupiono kosztem bogatszych parafian piękny sztandar z jedwabną szarfą opatrzoną napisem: »Na pamiątkę 40-lecia kapłaństwa Księdza P. Ciszka«. Przed plebanią ustawiono bramę ozdobioną wieńcami i chorągiewkami, z tablicą, na której widniał napis z jednej strony: »Witaj Czcigodny Jubilacie«, a z drugiej »Błogosław Boże Swemu słudze!« Przed sumą wyszła procesya po księdza Jubilata przed plebanię, gdzie go powitał uroczystą a rzewną przemową, wyliczając jego zasługi miejscowy akademik Stanisław Stefański. Wśród śpiewu i wystrzałów moździeżowych wprowadzono ks. Jubilata do kościoła, gdzie ks. Jubilat wygłosił okolicznościowe kazanie i odprawił uroczystą sumę. Uroczystość zakończyła się odprowadzeniem ks. Jubilata w procesyi na plebanię, przyczem ks. Jubilat dziękował wszystkim, którzy się do uświetnienia dnia tego przyczynili. — W dniu tym okazali parafianie przywiązanie do swego proboszcza oraz wdzięczność za 36-letnią żmudną pracę nad naszą wioską. Przy wytężającej pracy tyloletniej Czcigodnego Kapłana zmieniła się nasza wioska tak pod względem moralnym jak i materyalnym do gruntu. Zasługa to wyłączna ks. Jubilata.

(J. K.). **Ogień od pioruna**. Nad pewną wsią koło Białego Kamienia, w powiecie złoczowskim, przeciągała wielka burza obfita w błyskawice i pioruny. Mieszkańcy siedzieli niespokojni i trwożliwi, czekając kiedy się wreszcie ta burza w inne strony przewali. Nagle wśród ciemności wieczornej mignęła jakaś jasna smuga — ziemia się wstrząsła — a na kraju wioski zaświeciła łuna. Pali się! Wody! Ratunku! — dochodziły wołania z krańca wsi. Przy prędkiej pomocy i ulewnym deszczu ogień wkrótce ugaszono. Zdawało się, że spłonęła tylko szopa, ale rano wśród popiołów znaleziono zwęglony tułów gospodarza, który, upojony zapachem świeżego siana, spał, jak zabity i burzy nie słyszał. Podwójna stąd nauka. Kiedy burza nadciąga lub na nią się zanosi, nie iść spać do stodoły, gdzie są przeciągi i nie spać nigdy na świeżem sianie, gdyż można się odurzyć jego zapachem a nieraz i struć.

(J. K.) **Pożar**. We wsi Juśkowicach, koło Oleska, spłonęły przed niedawnym czasem trzy zagrody włościańskie. Przyczyną pożaru był mały chłopak, który, nazbierawszy zielonych śliwek, poszedł je gotować do stodoły, zapaliwszy zapałką słomę. Oto znowu smutny przykład lekkomyślności rodziców, którzy nie śledzą kroków swych dzieci i zapałki zostawiają w takiem miejscu, że dziecko je znaleźć i dosięgnąć może.

(J. K.). **Śmierć od pioruna.** Przed niedawnym czasem, podczas kopania kanału na polach w okolicy Toporowa, szalała wielka burza połączona z piorunami. Między innymi trzech robotników skryło się pod parasol. Nagle uderzył piorun w otwarty parasol, kładąc wszystkich trzech robotników trupem. Obecni przy tym wypadku oniemieli na widok trzech powalonych i, drżąc jak liść osiki, doczekali szczęśliwie przejścia burzy. Ciężkie życie człowieka. Niejeden opuszczając rodzinę, choćby na chwilę, nie przeczuwa nawet, że już jej nigdy nie ujrzy. Wszędzie może nas śmierć zaskoczyć, toć bądźmy zawsze na nią przygotowani, abyśmy śmiało mogli stanąć przed obliczem Boga.

(J. K.), **Wieczór Śmiechu**. Ubiegłej niedzieli urządziło oleskie grono nauczycielskie wieczór pełen śmiechu i zabawy. Udatne popisy, jakoteż »Kalosze« sztuczka hr. Fredry pełna humoru, rozweseliły publiczność, która tym razem zebrała się bardzo licznie. Wśród ciężkich i bardzo trudnych warunków doszło to przedstawienie do skutku. Poświęcono wiele trudów i przyjemności jedynie dla tego, ażeby T. S. L. znajdującemu się w smutnych stosunkach pieniężnych przysporzyć kilkadziesiąt koron, a publiczności dać możność oderwania się myślą od szarzyzny jej życia.

Walka z morzem. Na wszystkich prawie pobrzeżach mórz europejskich coraz bardziej rozwijają się i doskonalą organizacye rybacze, mające na celu ratowanie tonących w razie rozbicia się okrętu na morzu. Wprawdzie do dziś dnia jeszcze zdarzają się wypadki, iż, gdy okręt wpadnie na skały nadbrzeżne, ludzie toną o kilka metrów od brzegu.



W każdej wszakże miejscowości nadmorskiej można naliczyć tysiące osób, które swe ocalenie podczas licznych katastrof morskich zawdzięczają wspomnianym organizacyom ratunkowym. Nasza rycina przedstawia scenę z nad morza Bałtyckiego, gdy właśnie dowiedziano się o rozbiciu statku rybackie-

go i drużyna zorganizowanych rybaków wsiada na dużą łódź i wybiera się na ratunek swym tonącym braciom.

Samobójstwa w Prusach. W roku 1910 w Prusach 8179 osób popełniło samobójstwo, mianowicie 6164 mężczyzn i 2015 kobiet. Największy procent samobójstw przypada na Brandenburgię, Szlezwik-Holsztyn, miasto Berlin i prowincyę saską, a najmniej na Poznańskie i Prusy Zachodnie.

Ze strachu przed wojną Niezwykły wypadek wydarzył się tymi dniami w Monachium, stolicy Bawaryi. Szeregowiec 3 pułku piechoty, nazwiskiem Paweł Rössner, usiłował pozbawić życia ojca swego w tym celu, ażeby nie iść na wojnę. Rössnerowi żartem powiedzieli koledzy pułkowi, iż lada dzień oczekiwać należy wybuchu wojny niemiecko-angielskiej, na którą pójdą wszyscy zdolni do noszenia broni. Rössner przeraził się do tego stopnia tą wieścią, że przemyśliwać począł nad sposobem uwolnienia się od wojska. Wpadł wreszcie na myśl straszliwą. Nabył gdzieś trucizny, strychniny, i posłał ją ojcu swemu, namawiając go do zażycia tego rzekomego lekarstwa. Równocześnie posłał straszną truciznę siostrom, prosząc, aby zmieszały ją z jadłem ojca. Łudził się, że przez śmierć starego, jako jedynak nie będzie powołany na wojnę. Tymczasem sprawa przybrała inny obrót i żołnierz stanął przed sądem wojennym, który skazał wyrodnego syna na 14 miesięcy ciężkiego więzienia.

Pięcioro dzieci utopionych przez matkę. Na przedmieściu Stieglitz w Berlinie, wydarzył się straszny wypadek. Żona portyera Marya Friedrich utopiła w wannie pięcioro dzieci, a następnie usiłowała się sama utopić. Matkę uratowano, dzieci jednak zginęły. Powodem czynu była obawa przed złem obchodzeniem się ze strony męża.

Ciekawy dokument. Przy poświęceniu kamienia węgielnego pod budowę gmachu Tow. pracowników handlowych i przemysłowych w Warszawie, zamurowano w potrójnej puszczce: akt fundacyjny, ostatnie dzienniki warszawskie, monety stare i bieżące, pamiętnik Towarzystwa, oraz omszałą butlę z taką uwagą, wypisaną na niej pod adresem tego, co ją może znaleźć po stuleciach: Pomódl się za tych, co w grobach leżą, wypij tę butlę i wstaw tu świeżą...«

W walce z żydostwem. Włościanie i mieszczanie rolni lachowiccy w gubernii mińskiej, w Królestwie, wspólnemi siłami postawili młyn, krupiarnię i sieczkarnię, poruszaną motorem. Głównym celem tego zrzeszenia się była konieczność złamania konkurencyi żydowskiej, która, mając dotychczas własne młyny wodne i wiatraki, ustanawiała ceny dowolne. Młyn mechaniczny łachowicki, pierwszy w tym rodzaju i jedyny na całą najdalszą okolicę, żydom nie przypadł do smaku. Odgrażań się, przekonywania klientów za pomocą najpopularniejszego środka pod postacią... wódeczki, było bez liku. Wszakże te wszystkie trudności zostały przezwyciężone i młyn znakomicie się rozwija ku pożytkowi całej okolicznej ludności.

Straż w bieliźnie. Miasteczko Dobrzyń nad Wisłą, w gubernii płockiej, było świadkiem niezwykłego zajścia. Oto miała się tam odbyć majówka straży ochotniczej. Gdy strażacy zjawili się na miejscu zboru w pełnem umundurowaniu, naczelnik zawiadomił ich, iż gubernator pozwolił na wycieczkę pod warunkiem, że będzie ona miała charakter prywatny, a zatem strażacy zjawią się w ubraniach cywilnych. Wiadomość ta rozgoryczyła zebranych do tego stopnia, że wszyscy gremialnie złożyli swe godności i mundury, poczem w bieliźnie tylko odbyli pochód przez miasto. Wypadek zabawny, lecz i smutny zarazem, gdyż obecnie straż została bez ludzi, a miasto bez straży.

Urodzaj na trojaczki. W Pińsku, głównem mieście Polesia, w jednym tygodniu urodziło się u piekarza żyda dwóch chłopców i dziewczynka, oraz u szewca-żyda 2 dziewczynki i chłopiec. Wszyscy razem z matkami mają się dobrze.

Straszna zemsta dziewcząt. Ohydną zbrodnię spełniono we wsi Krugłaje, w gubernii woroneskiej. Dziewczęta tej wsi niemal wszystkie kochały się na zabój w miejscowym dyaczku, kleryku prawosławnym, ubiegając się o jego względy. Tymczasem dyaczek darzył sympatyą jedną z nich uchodzącą za piękność wioskową. Wzgardzone rywalki postanowiły zemścić się na dziewczynie za to, że zabrała im serce młodego kleryka. Solidarnie napadły na nią i wywlekły za wieś. Tu oblały jej twarz kwasem siarczanym i pobiły niemiłosiernie, oraz strasznie pokaleczyły. Nieszczęśliwą z poranionemi wnętrznościami znaleziono w polu i umierającą przeniesiono do szpitala.

Wydalanie Włochów z Turcyi. Na działania wojenne Włochów, zajmowanie wysp na morzu Egejskiem, odpowiada rząd turecki masowem wydalaniem poddanych włoskich z granic państwa tureckiego. Wydaleni, to przeważnie spokojni kupcy i rękodzielnicy, których wydalenie równa się zupełnej ruinie ekonomicznej.



Okrutne to prawo, z którego Turcya obecnie w całej pełni korzysta, uzasadnione jest w prawie wojennem, gdyż państwo niechętnie cierpi w swoich granicach poddanych kraju, z którym prowadzi wojnę, poddanych, którzy snadnie przedzierzgnąć się mogą w niebezpiecznych szpiegów. Rycina nasza przedstawia sceny, towarzyszące tym wojennym wydalaniom.

47 lat w więzieniu. W tych dniach wypuszczono na wolność w Medyolanie we Włoszech niejakiego Józefa Belletierego, który przesiedział 47 lat w więzieniu. Belletieri, słynny swojego czasu wódz bandytów, został za popełnienie 65 zbrodni skazany na śmierć. Jako okoliczności łagodzące przyjął trybunał fakt, że Belletieri świadczył »liczne dobrodziejstwa« ubogiej ludności, która go ubóstwiała. Wskutek tego ułaskawiono go na dożywotnie więzienie. Obecnie uwolniono go. Gdy Belletieri otrzymał wiadomość o ułaskawieniu, prosił na klęczkach, ażeby go pozostawiono w więzieniu, które stało się dla niego domem. Oczywiście nic to nie pomogło i Belletieri opuścił więzienie.

Środek przeciwko cholerze. Pewien lekarz francuski wynalazł środki celem uczynienia odpor-

nym organizmu ludzkiego przeciw cholerze. Dokonał szeregu wstrzykiwań do żył czynnych zarazków cholery. Osoby, które poddały się tym próbom, odczuły pewne dolegliwości połączone z gorączką; po wstrzyknięciu powtórnem wystąpiły te same objawy w nieco mniejszym stopniu, poczem trzy z pośród tych osób, zgodziły się na ostateczną próbę: połknięcie pewnej ilości żywych zarazków cholery, co nie wywołało najmniejszych zaburzeń w ich organiźmie. Wynalazca jest podobno na dobrej drodze do odkrycia skutecznego środka przeciw cholerze, lecz próby wykonane nie dają jeszcze zupełnej pewności; stwierdzenie skuteczności wstrzykiwań wymaga całego szeregu doświadczeń.

Śmiertelny upadek lotnika. Jeden z najznakomitszych i najodważniejszych lotników francuskich Vedrines, lecąc niedawno temu z Anglii ku Paryżowi, w pewnem miejscu zniżył lot do kilku metrów ponad ziemię i nieostrożnie zaczepił o drut telegraficzny. Aparat, poruszający się z ogromną szybkością, runął na ziemię, raniąc niebezpiecznie głowę Verdinea.



Pociągiem, zdążającym w stronę Paryża, zabrano nieprzytomnego lotnika i przewieziono do stolicy. Na wieść o wypadku pospieszyli do łoża śmiertelnie rannego przedstawiciele wszystkich władz, ministrowie, komenderujący wojskami i członkowie akademii. Obrazek nasz przedstawia zgruchotaną na torze kolejowym maszynę lotniczą Verdinesa.

Wybredna panna. Najwybredniejszą chyba z panien na wydaniu jest księżniczka Patrycya Connaugth. Ładna, wesoła, dowcipna i bogata panna odrzuca po kolei najlepsze partye świata. Dotychczas odpaliła już następujących konkurentów: króla Alfonsa hiszpańskiego, ponieważ nie pochodzi z dosyć starożytnego rodu; króla Manuela portugalskiego z powodu jego złego charakteru; następcę tronu niemieckiego; księcia Eifela Fryderyka, drugiego syna cesarza Wilhelma, bo jest za gruby; ks. Sachsen Koburg Gotha, bo jest zniewieściały; ks. Krzysztofa greckiego, dlatego, że nie jest dobrym żołnierzem; ks. Gustawa duńskiego, bo jest bliskim kuzynem jej; ks. Wilhelma szwedzkiego, bo jest za szczupły. Kto wie czy wybredna księżniczka nie zostanie w końcu starą panną.

Sędziwy włamywacz. Jubiler londyński, James Euston, stanął w tych dniach przed sądem policyjnym, jako oskarżyciel w sprawie rabusia, ujętego na gorącym uczynku włamywania się do jego kasy. Już przed dwoma laty Eustonowi skradziono towaru za 500 funtów szterlingów, a rabuś uciekł w samochodzie. Przed pięciu miesiącami złodzieje nawiedzieli ponownie sklep Eustona i, rozbiwszy kasę, zabrali z niej towaru za 750 funt. szterl. Wówczas jubiler kazał urządzić przy kasach swoich dzwonki alarmowe. Pewnej nocy ubiegłego tygodnia, dźwięk dzwonka alarmowego zbudził jubilera. Euston więc zeszedł z rewolwerem w ręku do sklepu i zastał przy kasie człowieka już sędziwego z narzędziami złodziejskiemi w ręku. Aresztowany złodziej okazał się niejakim Thomasem Evansem, liczącym lat 70 i trudniącym się zawodowo rozbijaniem kas jubilerskich. Śledztwo wykazało, iż brał udział i w poprzednich rabunkach u Eustona. W mieszkaniu jego, wytwornie i wygodnie urządzonem, znaleziono wielki zapas narzędzi złodziejskich. Sąsiedzi Evansa ani przypuszczali, iż ten spokojny i zamożny starzec jest niebezpiecznym włamywaczem.

Katolicy w Stanach Zjednoczonych stanowią obecnie więcej, niż szóstą część ludności kraju, a Polacy z górą piątą część katolików amerykańskich. Obecnie żyje w Stanach Zjednoczonych 15,015.569 katolików. Z pośród poszczególnych stanów najwięcej katolików mieszka w stanie Nowy Jork, Pensylwania, Illionois, Massachusetts i Ohio; najmniej w stanie Colorado, Kansas, Maine i New Hampshire. Najwięcej katolików mieszka w tych stanach, gdzie żywioł katolicki poważnie zasilają Polacy. W porównaniu z rokiem 1902 liczba katolików w Stanach Zjodnoczonych podniosła się o 4,038.812. Księży katolickich jest ogółem 17.491, kościołów 13.939, w tem 4.083 t. zw. misyjnych nie obsadzonych księżmi. Władza kościoła katolickiego pozostaje prawie wyłącznie w ręku biskupów narodowości iralandzkiej i niemieckiej. Tem tłómaczy się mała liczba kościołów i księży, przypadająca stosunkowo na polskich katolików w Ameryce. Wiadomo, że Polacy wśród amerykańskiej emigracyi katolickiej najwięcej łożyli i łożą na swoje kościoły i potrzeby religijne. Pomimo to mają oni najmniej kościołów, najmniej księży i parafii, a co najgorsza najmniej szkół parafialnych przy jednoczesnym dobrem uposażeniu probostw.

„Proszę o wielki palec“ — takiemi słowy przyjmują teraz kasyerzy amerykańskich banków nieznanych im osobiście gości, którzy się zgłaszają do kasy z czekiem. Wiadomo, że podobnie jak rysy twarzy, tworzą rowki poduszki wielkiego palca charakterystyczne i u każdego człowieka całkiem odmienne linie; jak niema dwóch ludzi całkiem do siebie podobnych, tak nie znajdzie dwóch całkiem podobnych palców. Na tej zasadzie wprowadzono w Paryżu rozpoznawanie oskarżonych zapomocą odcisku palca. Ten sposób doczekał się już nowego zastosowania w pomysłowej i postępowej Ameryce, gdzie wiele banków wprowadziło już u siebie w obrocie czekowym, legitymacye palcowe. Kasyer banku, któremu sprezentowano czek do wypłaty, jeżeli klient nie jest mu osobiście znany, nie pyta o legitymacyę, lecz, podsuwając zgrabnie poduszeczkę natłuszczoną farbą drukarską, prosi go grzecznie o palec. Następnie bierze odcisk, porównuje go z nadesłanym mu odciskiem danego pana, a po zadowalniającym wyniku wypłaca pieniądze.

»Najodważniejsza« panna na świecie. Córka pewnego wysokiego urzędnika ministeryalnego w Stanach Zjednoczonych, panna Karolina Newberry, zerwawszy z milionowym oficerem angielskim Frankiem Brooks, przed kilku dniami poślubiła ubogiego Amerykanina. Pastor, udzielający błogosławieństwa, w przemówieniu do nowożeńców nazwał oblubienicę »najodważniejszą panną na świecie«, gdyż dała przykład, że można wyrzec się świetnego stanowiska i majątku i nie ulękła się — ubóstwa.

Odpowiedzi Redakcyi.

PP.: Walenty Pasierb w Cz.: Za przesyłkę dziękujemy. — Jan Małkowicz w G.: Właśnie tytuły i podobne początki zbałamuciły nas, dlatego poszło do kosza. — Adela Bezokówna w K. M.: Mamy tylko kilka roczników z 1911 r. Ponieważ są one na pięknym, grubym papierze, więc taniej bezwarunkowo dać nie możemy. Kanty Jura w K.: Wystarczy zaadresować: *Słowo Polskie,* Lwów, *Wiedza i Postęp* (Lwów, ul. Szeptyckich 68) jest miesięcznikiem. — Adam Jesionek w T.: Otrzymaliśmy — dzięki. — Józef Kobylański w C.: Artykuły dobre. — Stefania Szybowiczówna w Ż: Za pamięć dziękujemy. Owszem niech Pani przyszle. — Józef Fusek w Z.: Kalendarzy na 1913 r. jeszcze niema, ale wkrótce będą. — Stanisław Mirek w G.: Wierszyki, aczkolwiek miłe, wymagałyby pewnej ogłady, aby mogły być drukowane. Może inne będą lepsze. — Marya Wawrzyk w P.: Autor powieści »Przez Pogrom« bardzo zadowolony z słów Pani. Za obietnice dziękujemy. Kronik o samobójstwach nie drukujemy często, gdyż uważamy to za niedobre. Obecnie nadesłane wiadomości zbyt spóźnione. Łączymy pozdrowienia. — Jan Kuś w L.: Numera od początku roku mamy w zapasie. — Teofil Tryczyński w N.: Dziękujemy. Kronika będzie na przyszły tydzień. — Ignacy Siepak w Ch.: Wierszyki miłe — może da się co z nich umieścić. — Józef Urbańczyk w O.: Prenumeratę otrzymaliśmy. — Peter Klak w L.: Okładki mamy i po otrzymaniu 50 hal. wyślemy.

Potwierdzenia prenumeraty.

Półroczną prenumeratę nadesłali PP.: Suwaj Antoni z J., Kłodka Józef z S. S., Kosel Johan z B., Madej Antoni z L., Nowak Władysław z B. cz., Walica Józef z O., Czechowski Jan z P., Wiercioch Józef z T., Stefan Józef z D. B., Grania Józef z Ż., Borek Andrzej z B., Stec Antoni z Cz., Filipek Józef z K., Repczyński Adolf z D., Wilkówna Józefa z Ł. sz., Horak Michał z T., Wojtas Jędrzej z R. d., Rzechowicz Jan z R., Tomaszek Jerzy z L., Krzemiński Franciszek z J., Kóska Franciszek z B.

Kwartalną prenumeratę nadesłali PP.: Rybicki Józef z Z., Krzyżak Józef z T., Piwowoński Jan z G., Mateja Jędrzej z P., Peter Klak z L., Kraus Jan z M., Czechura Jan z P. n.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 23 lipca

Pszenica	Kor.	11·—	do	11·35	za 50 kg.
Żyto	„	10·10	„	11·75	„
Jęczmień	„	9·35	„	10·10	„
Owies	„	10·25	„	11·—	„
Otręby pszenne	„	7·10	„	7·20	„
Otręby żytnie	„	7·40	„	7·55	„

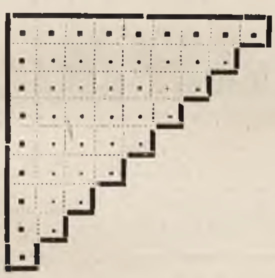
Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 23 lipca:

Buhaje	Kor.	180	do	300	za sztukę
Woły	„	300	„	450	„
Krowy	„	170	„	410	„
Jałówki	„	120	„	200	„
Cielęta	„	20	„	60	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie bita waga)		160	–	170	za 50 kg.

Zagadki do nagrody.

1. TRÓJKĄT MAGICZNY.

(Ułożyła B. Moroniówna).



Znaczenie wyrazów: 1) Wyraz szukany. 2) Miasto w Galicyi. 3) Część świata. 4) Jarzyna. 5) Imię żeńskie. 6) Część ciała ludzkiego. 7) Przysmak. 8) Przyimek. 9) Samogłoska.

Kropki zastąpić literami tak, aby rząd pionowy i poziomy dał nazwisko poety polskiego.

2. SZARADA.

(Ułożył X. X.).

Pierwsza druga to imię, szukaj go w Albionie,
Dodaj trzecią mieć będziesz dziewkę na zagonie,
Sławna to istotna, ambitna i chciwa.
Znana w historyi, bardzo nieszczęśliwa.
Pierwsza i czwarta przydać się może
W inspektach o zimowej porze;
Weź czwartą i pierwszą a masz rzecz konieczną,
Bez której wioska z wiosną nie będzie bez- [pieczną;
Trzecie i czwarte to imię zdrobniałe dziewczyny,
Dwa razy powtórz czwartą pół drugiej, wróg [naszej krainy,
Wspak weź czwartą i dodaj pierwszą w tym- [że rzędzie,
Znanej literatki piękna powieść będzie.
Wszystko razem do kuchni bywa używana,
Na zimę z różnych rzeczy skrzętnie sporza- [dzana.

3. SZARADA.

(Ułożył X. X.).

Pierwsza druga intrygi nam wniosła do kraju,
A także pedagogia leży w jej zwyczaju,
Pierwsza z piątą dokuczliwie daje się we znaki,
Gdy nad morzem szukają ciepła nieboraki,
Trzecia, pół czwartej, pół piątej dodając,
Urządza się na cel piękny, trochę narzekając,
Druga, czwarta i piąta przez Boga nam dana,
Złem wychowaniem bywa wykrzywiana,
Piąta i druga, gdy bolączek wiele
Znajduje się czasem i na ludzkim ciele,
Czwartego i piątego znajdziesz na arenie,
Gdy go puszcz głębokich nie skrywają cienie.
Całość to imię stosowne dla definitora,
Albo ojca gwardyana lub księdza przeora.

4. SZARADA.

(Ułożył Józef Waszek).

Pierwsza stolarz używa,
Druga wykrzyknikiem bywa,
Trzecia znów zaimek oznacza,
Całość to wszystko w ręku bogacza.

5. SZARADA.

(Ułożył Kazimierz Drzewicki).

Drugie pierwsze owady, pewnie już najmniej- [sze w świecie,
Co to niszczą futra i ubrania, pewnie o tem [wiecie,
Drugie czwarte stroje, pewnie że nie tanie,
Zazwyczaj w tem się lubują panienki i panie,
Czwarte z trzeciem, tak się pewne państwo [zowie,
A że w Europie leży, to wam każdy powie.
Całość choremu bywa podawana
I może być przez każdego w domu zładowana.

6. SZARADA.

(Ułożył Tomasz Dziewit).

Pierwsze, drugie, czwarte, w drogę wyruszą,
Drugie z czwartem w kraju być muszą,
Drugie i piąte bieliźnie potrzebne,
Trzecie pytanie dosyć możebne;
Całość to nazwa piśmiennego
Zadania już wyrobionego.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli.* Termin do 3 sierpnia 1912 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 28 »Roli«: 1. Szarada: **Maciejowice**, 2. Szarada: **Szarada**, 3. Arytmogryf: **Mikołaj Kopernik**. 4. Tajemnicze bilety: a) **Marszałek**, b) **Krynica**, 5. Szarada: **Laskonogi**, 6. Szarada: **Apolinary.**

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP.: Wł. Stefański z G., Arkadyusz Szarek z S. W., Mateusz Zięba z O. B., Jadwiga Kobylańska z B., Józef Kobylański z C., Zofia Pawłowska z Z., Piotr Gródek z B., Franciszek Cwynar z Cz., Adela Bezokówna z K. M., Jan Moś z Cz., Antoni Józef Byłow z M., Wincenty Flis z L., Jan Bąbaś z O., Adam Warchoł z Z., Józefa Hirszberg z K., Koło Macierzy szkol. z S., Maciej Mucha z K. M., Bartł. Rosiek z B., Wincenty Miśniak z P., Jan Małkowicz z G., Franc. Klocek z N. T., Jaś Pasek Błotnicki z Dz., Michał Dudek z Ż., Fr. Teper z M. K., Jan Siuda z Ł., Kołatek Józef z S., Paweł Koniorczyk z S. W., Józef Adamczyk z W. S., Janina Midowicz z S., Franciszek Gruca z O., Adam Zieliński z M. Z., Kazimiera Totosiówna z P., Wojciech Moroń z Ł.,

Pierwszą nagrodę p. t. ***Mieszkaniec puszczy*** wylosował p. **Maciej Mucha** w K. M., zaś drugą p. t. ***Z chłopskiej niwy*** p. **Franciszek Gruca** z O.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara
Drukarnia „Czasu" w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.